



Andrzej Osipów

Sygnatura notacji: **N1468**

Data urodzenia: **31.03.1953 r.**

Data nagrania: **25.06.2020 r.**

Miejsce nagrania: **studio nagrań Radia Gdańsk, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Marzena Bakowska**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 31 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**

część I z II



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Andrzej Osipów, urodzony 31.03.1953. I urodziłem się w Osiecznej.

Koło Stargardu Gdańskiego.

Tak jest, koło Stargardu Gdańskiego.

Czym zajmował się pan w sierpniu 1980 roku?

W sierpniu osiemdziesiątego roku byłem przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Przedsiębiorstwie Robót Kolejowych nr 12 w Gdańsku. Oczywiście przewodniczącym zostałem wybrany dopiero na zjeździe organizacji związkowej, ale w sierpniu byłem delegatem przedsiębiorstwa swojego, wybranym do MKS-u w stoczni i przez dwa tygodnie w sierpniu osiemdziesiątego roku przebywałem w Stoczni Gdańskiej i tam wszystko widziałem, co się dzieje w czasie trwania rozmów w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym.

Czy miał pan wcześniej kontakty z demokratycznym, niepodległościowym środowiskiem, budowaniem jakichś niezależnych struktur od władz PRL-u?

Ja swoją drogę życiową rozpoczynałem w grudniu siedemdziesiątego roku, byłem uczniem szkoły przyzakładowej w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Gdańsku i jako uczeń III klasy, kiedy Zakłady Naprawcze Taboru

Kolejowego zastrajkowały 15 grudnia, z Przeróbki ulicą Siennicką przeszedłem z całym zakładem, ci którzy chcieli strajkować, pod Dom Partii w Gdańsku, gdzie trwały cały dzień walki uliczne z milicją, gdzie były zdobyte dwa transportery przy dworcu gdańskim. Oczywiście, jako młody człowiek, dość odważnie w tym wszystkim uczestniczyłem: rzucaliśmy, czym można było, walcząc z milicją. Widziałem też, jak panie niosły zakrwawioną flagę Polski, bo ktoś został przejechany przez czołg. Jeden z czołgów został też przez demonstrantów zdobyty. I był też taki moment, kiedy rzucaliśmy butelkami z benzyną na przejeżdżające czołgi, transportery, ale to nie były koktajle Mołotowa. Pan w hotelu „Monopol” wylewał nam wódkę z butelek i do tej wódki wlewał benzynę. I to taki moment dla mnie startu życiowego, politycznego. Ale ja też pochodzę z rodzin, które zawsze walczyły o wolność Polski. Po kądzieli pochodzę z rodziny z zapisami rodowymi z XIII wieku, która zawsze walczyła o Polskę, zawsze dbała o interesy polski. A z kolei też miałem swojego przodka po mieczu, słynnego księdza Stanisława Kujota z Borów Tucholskich, który był prezesem Towarzystwa Naukowego w Toruniu na przełomie XIX i XX wieku, który walczył z Hakatą i jako prezes Towarzystwa Naukowego w Toruniu, podniósł na wyżyny działalność tego towarzystwa, które skupiało całą intelektualną część Pomorza. Tam byli ziemianie, tam była szlachta, tam byli księża. I stąd moje takie korzenie. On też był wyrzucany za polskość z chojnickiego gimnazjum. Więc to są moje korzenie patriotyczne. Więc sięgam już trochę dalej niż, powiedzmy, w czasie sierpnia, przedsierpniowej opozycji. Ja oczywiście miałem kontakty. Od grudnia siedemdziesiątego roku chodziłem też w miejscu, gdzie były rozruchy, pod II bramę Stoczni Gdańskiej, domagaliśmy się budowy pomnika. I cały czas obserwowałem tę scenę polityczną. I sierpień osiemdziesiątego roku był takim drugim wyznacznikiem mojej stricte, działalności polityczno-społecznej. Bo sierpień to nie była tylko walka o prawo bytu, chleb, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że to jest walka o przyszłą, wolną, demokratyczną Polskę. Przynajmniej ja zawsze tak mówiłem swoim kolegom. Byłem wtedy młodym człowiekiem, miałem dwadzieścia siedem lat. Ludzie wiedzieli o – w zakładzie pracy, w którym pracowałem, mojej przeszłości politycznej, o moim pochodzeniu na Pomorzu. To byli Pomorzanie, którzy pracowali tu w większości. To byli Kaszubi, Kociewiaczy, Borowiaczy. I oni jakby uznali, że moja droga życiowa pozwala mi na taką działalność, że wybrali mnie jednogłośnie delegatem do MKS-u, a później wybrali mnie przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Przedsiębiorstwie Kolejowym nr 12 w Gdańsku. To był duży zakład budowlany, zatrudniający 1500 osób, z tego 96% należało do „Solidarności”.

Jeszcze na moment chciałbym wrócić do roku siedemdziesiątego. Co dla pana było najbardziej wstrząsające w tych wydarzeniach?

Dla mnie przerażającym było to, że władza, która mieni się ludową, po prostu wystąpiła przeciwko narodowi. I to było po prostu tragedią. Przesłanie było takie, władzy, że tutaj jacyś Niemcy wylądowali, jakiś desant, że to jest przyczyna tego, że chcą odbić Gdańsk. To oczywiście była propaganda, ludzie wiedzieli swoje, walczyli o chleb, o byt w tamtym czasie, bo były podwyżki. Ale dla mnie, dla młodego człowieka to, że wiedziałem, że giną ludzie, że strzelają do robotników, że były ofiary, że przeszło pięćdziesiąt osób na Wybrzeżu zginęło. To po prostu utwierdziło mnie w tym, że ta władza nie chce rozmawiać z narodem, że dalej jest betonem komunistycznym. I dla mnie to było tragedią. Oczywiście ja miałem wyrobienie polityczne, o którym wcześniej mówiłem, sprzed wieku. Dla mnie to było może łatwiejsze. Ale muszę powiedzieć, że te moje wspomnienie, reminiscencje z grudnia siedemdziesiątego roku, to później przydały się, kiedy rozmawiałem z kolegami, że trzeba dalej strajkować, bo to jest chyba jedyna okazja, żebyśmy zawalczyli o wolną Polskę, a nie tylko o kawałek chleba.

Miał pan kontakt z jakimiś nielegalnymi wydawnictwami, drugim obiegiem, słuchał pan radia „Wolna Europa”?

Tak, „Wolnej Europy” to słuchaliśmy z moim ojcem i z bratem, jako małe dzieci. Mój tato był maszynistą kolejowym. To w tej chwili moja droga życiowa się potoczyła tak, że prawie całe życie pracuję w strukturach PKP, Polskich Kolei Państwowych i również w strukturach Polskich Linii Kolejowych. I to dla mnie jest też takim argumentem, jak jeżdżę gdzieś jako dyrektor, który buduje linie kolejowe. Podchodzą do mnie ludzie, tu na Pomorzu, bo dużo budujemy linii kolejowych, wręcz modernizujemy. I podchodzą, mówią, że znali mojego tatę, który był bardzo odważnym człowiekiem, na głos słuchał „Wolnej Europy” w pracy. I mówią, że: „Pan jest takim synem jak pana tata”. I dlatego o tym mówię, bo to też był taki wyznacznik dla mnie drogi życiowej. Mój tato o mało nie zginął w siedemdziesiątym roku w Gdyni, kiedy z helikoptera strzelano. Tak poszedł, kiedy nie miał akurat służby, też walczył w Gdyni o wolną Polskę i obok niego padali ludzie. Więc to dla mnie taki był wyznacznik. Ale oczywiście miałem kontakt z drugim obiegiem. Nie należałem do WZZ-tu, bo w tym czasie byłem w wojsku, 1977-79. Nie udało mi się jakoś w tamtym czasie dostać na studia, na prawo. Jestem obecnie prawnikiem, ale wtedy z takich rodzin opozycyjnych nie przyjmowano na prawo. Mój wuj był w kopalni uranu, tato cudem tego uniknął. Bo zawsze byliśmy przeciwni komunie, notowani przez UB, SB, mój tato. Więc drugi obieg, jak wróciłem, oczywiście, z wojska, zawsze miałem kontakt. Stąd ta moja droga życiowa jakby się toczy od wieków i do tej pory trwa walki o taką suwerenną Polskę, o tę, którą moi przodkowie tu wykuwali, na Pomorzu również, żeby ta Polska była zdecydowanie krajem przychylnym dla wszystkich obywateli.

Jak wyglądała organizacja strajku w sierpniu osiemdziesiątego roku, w tym Przedsiębiorstwie Robót Kolejowych nr 12, w którym pan pracował? Kiedy padło pierwsze hasło? Jak się gromadzili ludzie? Jak się państwo dowiadywali o tym, co się dzieje w Stoczni Gdańskiej?

Ja już 14 sierpnia 1980 roku byłem pod stoczną, wiedziałem, jak strajk przebiega. Przyjechałem do zakładu, już namawiałem ludzi do strajku, ludzie byli do tego przygotowani. Bo to jest ciągłość jakby zdarzeń. I większość to byli ci, którzy strajkowali też w tym zakładzie pracy w siedemdziesiątym roku. Byli do tego bardzo przekonani. I zastrajkowaliśmy formalnie od szesnastego, kiedy ja dostałem delegację do stoczni. Byliśmy wcześniej jako zakład w stoczni, ale trzeba było mieć upoważnienie z komitetu strajkowego, a z racji tego, że komitet strajkowy uformował się, formalno-prawny, przy bazie sprzętu, róg Grunwaldzkiej, Kołobrzeskiej w Oliwie, to ja zebrałem wszystkie podpisy i z takim upoważnieniem pojechałem. Ale oczywiście byliśmy tam wcześniej, byliśmy z dwa dni wcześniej w stoczni. Był też kolega z bazy sprzętu, Henryk Sawicki, tylko oni nie powołali formalnego komitetu i żeby nie robić dualizmu w zakładzie pracy, ja zostałem szefem ogólnozakładowym. I jesteśmy zarejestrowani we wszystkich dokumentach jako zakład, pod numerem 23, ale wcześniej byliśmy jako 12, a że trzeba było przywieźć te formalne dokumenty, spadliśmy na dwudzieste trzecie miejsce. I stąd cała moja droga życiowa w tamtym czasie przez dwa tygodnie koncentrowała się na tej działalności. My mieliśmy łatwiej, dlatego że zdecydowanie załoga postawiła na strajk. To był zakład budowlany, który był bardzo rozdrobniony na budowach, ale miał silne ośrodki jak baza sprzętu, transportu. Były kierownictwa głównych budów. I ci ludzie pracowali z administracją również, i wszyscy strajkowali. Mieliśmy też ułatwione zadanie, jeżeli chodzi o komunikację się z naszą załogą. Postawiliśmy w stoczni przy sali BHP samochód Nysa, który miał radiotelefony i z głośników ludzie słuchali na bazie sprzętu tego wszystkie-

go, co się dzieje. Ja to określam, że my byliśmy „małą stocznia”, wszędzie to mówię w wywiadach, w okolicy Oliwy, Przymorza, dla uniwersytetu, przywoziliśmy dużo bibuły, byliśmy bardzo mobilni. Ja też przyjeżdżałem i mówiłem w momentach takich, co się dzieje w stoczni. I ludzie przychodzili do nas po bibułę jak do stoczni, z całego okręgu Przymorza, Oliwy. Byliśmy widoczni, bo to jest ciąg arterii głównej, vis-à-vis praktycznie Hali Olivia, stąd bardzo dużo ludzi się zatrzymywało. Ale mieliśmy też ułatwioną komunikację z całym krajem, bo jako zakład kolejowy mieliśmy telefony kolejowe. Te telefony kolejowe, nam ich nie wyłączono ze względów jakichś strategicznych. Wiedzieliśmy, że jesteśmy podsłuchiwani. I takich zakładów pracy w Polsce było około dwudziestu. I informowaliśmy przez telefony kolejowe, służbowe, co się dzieje w Gdańsku: do Biłgoraja, do Krakowa, do Warszawy, do Poznania, do Szczecina. Mieliśmy bardzo dobry kontakt i stąd ludzie dowiadawali się w Polsce, w naszych zakładach pracy i przekazywali też do swoich społeczeństw, co się dzieje w ogóle w Gdańsku. Więc to dla mnie to było takie życiowe wyzwanie i wykorzystaliśmy wszystkie możliwości techniczne.

Jaka była atmosfera w pańskim zakładzie, w Stoczni Gdańskiej, ale też w tych zakładach, z którymi pan miał kontakt, z Polski. Jak oni odbierali to, co działo się w stoczni.

W moim zakładzie pracy to była po prostu euforia. To był strajk okupacyjny. Było to przedsiębiorstwo budowlane, w związku z tym wszystkie budowy też strajkowały. Czekali na kontakty, mieli telefony, też kolejowe, więc zawsze nam to ułatwiało. Atmosfera była po prostu podniosła. Wszyscy wiedzieli, że musi być wielka mobilizacja. Postawiliśmy warunki. Ja jako szef komitetu strajkowego, przewodniczący tego komitetu, pilnowałem bardzo porządku, żaden alkohol nie wchodził w rachubę. Jeżeli ktoś by sobie na to pozwolił, to od razu wiedział, że jest wykluczony ze strajku. Nie było ani jednego przypadku. Ludzie wiedzieli, że to jest ten moment: albo teraz, albo nigdy. Ludzie pamiętali pięćdziesiąty szósty rok, starsi pracownicy, ale siedemdziesiąty rok to już praktycznie wszyscy tam pracujący. I pamiętali sześćdziesiąty ósmy rok, i wiedzieli, że to teraz trzeba zastrajkować. Stąd była naprawdę podniosła, odpowiedzialna atmosfera. Idealny porządek panował w zakładzie pracy. To nawet dyrekcja później podkreślała, że tak jest. Zakład był zmilitaryzowany, bo był zakładem około kolejowym. Oczywiście przekazywano nam informacje, że zakład jest zmilitaryzowany i że nie należy strajkować. Nikt się tym po prostu nie przejmował, wszyscy wiedzieli, decydenci, że porządek w zakładzie jest. Ale też te kontakty nasze z całym krajem przez telefony kolejowe, to była chyba taka istota, że bardzo byli spragnieni tego, co się dzieje tu, na Wybrzeżu. My byliśmy awangardą, te zakłady pracy, które przyjeżdżały i około chyba 700 było pod koniec strajku, z całej Polski. To oni łaknęli tego wszystkiego. I stąd te nasze telefony kolejowe się przydały, dalekopisy się po prostu przydały, bo to taki mobilny zakład ze względu na specjalne zobowiązania militarne miał. I my to wszystko wykorzystaliśmy. Euforia w Stoczni Gdańskiej duża. Tak że ci wszyscy gdańszczanie, którzy przychodzili pod bramę stoczni, te spotkania z nimi przez bramę – to podnosiło wszystkich strajkujących na duchu. To był taki wybuch powiewu, tak bym powiedział, zrywu narodowego i ja to tak odbieram. Ludzie byli bardzo przychylni sobie, nie było jakichś takich nieprzyjaznych gestów tak jak czasami w życiu bywa. Wszyscy wiedzieli, że to jest naprawdę walka o wszystko w tej chwili. Że trzeba na władzy wywalczyć większe ustępstwa. Żeby były wolne związki zawodowe, nie tylko związki zawodowe reżimowe i że tu już wchodzi w grę polityka, a nie tylko walka o lepszy byt. I ta polityka wiązała się z poluzowaniem tego, co się dzieje w demoludach.

Pan był, można powiedzieć, takim przedstawicielem swojej branży podczas strajku. Jakie postulaty pan reprezentował?

Ja z dwudziestu jeden postulatów reprezentowałem wszystkie, bo ja byłem w tym czasie, kiedy to one były konsultowane. Mieliśmy bardzo dobre miejsce na sali BHP. Mam takie zdjęcia, gdzieś zaraz przy prezydium. Oczywiście nie uczestniczyłem w tej małej salce, w prezydium, bo do tego nie należałem, ale te wszystkie konsultacje i tak dalej, to po prostu się wszystko wykuwało w zakładzie pracy. Też były przyziemne... Przyziemne, mówię, ale bardzo ważne dla załogi postulaty, żeby lepsza organizacja była. Chodziło o płace, chodziło też o wynaturzenia, które wtedy się odbywały. Pamiętam w zakładzie pracy taki postulat, bo już wybiegam trochę gdzieś tam w przód, kiedy mieliśmy swoje już rozmowy, ale to było pokłosiem Sierpnia. Byliśmy jednym z pierwszych przedstawicieli... Zakładów w Polsce, który podpisało z ministrem komunikacji na początku października już porozumienie dotyczące lepszej organizacji w zakładach. Powiem pani taki postulat. Kiedyś była taka sytuacja, że powszechnie kierowcy „kręcili” liczniki, tak to po prostu było. Sobie w ten sposób... To tak jak kiedyś Gomułka powiedział: jak nie mają, to sobie dokradną. Żeby każdego w coś uwikłać. I to paliwo się czasami się wylewało do rowów. Wylicyliśmy, że w naszych PR-kach to był tankowiec dwudziestu tysięcy, przez jakiś tam okres czasu. Chcieliśmy to uporządkować, żeby był porządek w kraju. Więc to był taki postulat. A oczywiście lepsze płacowe, ale bardziej organizacyjne, co należy zrobić, żeby w komunizmie pracowało się lepiej, za godziwe pieniądze i żeby to miało taki wymiar organizacyjny, tak jak jest na przykład na Zachodzie. I tutaj kontakty nasze na północy Polski gdzieś tam zawsze z Zachodem były bliższe. I to było takie dbanie o dobro zakładu, żeby nie było przekrętów, wynaturzeń. Ale nacisku takiego specjalnego płacowego, żeby więcej – nie. To wchodziło w grę, żeby Polska była lepiej zorganizowana. I to wtedy chyba taki postulat sobie najlepiej wyobrażam. No oczywiście, te wszystkie dwadzieścia jeden postulatów, były bardzo dobrze przyjmowane. Wiedzieliśmy, że na przykład wywalczenie niedzielnej mszy świętej, wywalczenie wolnej soboty, żeby człowiek miał trochę więcej czasu dla rodziny. A ta msza święta później się przydała, bo jak byliśmy już więźniami politycznymi, ja z kolegami, to słuchaliśmy jej w więzieniu, w Potulicach. Więc coś z tego zostało. Ale to było bardzo istotne, żeby nie odrywać narodu od kościoła, od wartości narodowych. I myślę, że te postulaty, to były chyba dla mnie najistotniejsze, bo te płacowe, inne historie, to zawsze można gdzieś poprawić organizacją pracy.

Czyli dla pana najważniejszymi postulatami były te właśnie dotyczące mszy św. w radio czy też telewizji...

I wolne związki zawodowe, to, które zostały wywalczone. Bo to był główny postulat, żeby ten niezależny, samorządny związek zawodowy powstał, bo wiadomo, że przy tym związku, gdzie reżim nie będzie miał takiego dostępu – to jest najważniejszy postulat chyba również, dlatego że przy tym skupiały się wszystkie wartości narodowe. To był ruch społeczny. Ja sobie z tego zdawałem sprawę, że to nie jest tylko związek zawodowy, to jest ruch społeczny. Przy tym ruchu społecznym zawsze można zadbać o wartości narodowe. I to chyba było najistotniejsze.

No i struktura, która jest niezależna.

Tak, tak, zdecydowanie, dlatego powiedziałem: niezależny, samorządny związek zawodowy. I struktura bardzo niezależna. No widać, że władza chciała to szybko zdławić, „Karnawał »Solidarności«” trwał szesnaście miesięcy.

Wróćmy jeszcze do momentu samego podpisania porozumień. Jak pan odbierał podpisanie porozumień, jak pan

oceniał na tamten moment ten fakt. Jak odbierali to ludzie, którzy byli wokół pana.

Ja myślę, że to była euforia. Było już pewne zmęczenie – dwa tygodnie, ale wszyscy u mnie w zakładzie trwali na swoich posterunkach i wszyscy wiedzieli, że trzeba to wytrzymać. Ja oczywiście po podpisaniu porozumienia przyjechałem do swojego komitetu strajkowego na bazę sprzętu ogólnozakładowego i tam wszystkim przekazałem, że jest koniec strajku. Była rzeczywiście euforia, ludzie już to wiedzieli z radia, że tak jest i wszyscy się po prostu cieszyli, że teraz przejdziemy do drugiej fazy, utrwalania tego, co zostało podpisane, bo zdawaliśmy sprawę sobie z tego, że to będzie chyba trudniejszy moment niż same czternaście dni strajku. I sam fakt, że władza się zgodziła na niezależne, samorządne związki zawodowe, to wiedzieliśmy, że to tak łatwo nie będzie i że trzeba będzie do tej drugiej fazy przystąpić bardzo zdecydowanie, ale oczywiście była euforia, zadowolenie z tego, co nastąpiło w Stoczni Gdańskiej i chyba nie tylko w moim zakładzie, we wszystkich w całej Polsce.

Jak zaczęło się budowanie tych struktur, czyli przekazywanie tych porozumień w czyn, w rzeczywistość.

Ja zostałem oddelegowany do tworzenia struktur organizacji związkowej przez zakład pracy i jeździłem po wszystkich moich oddziałach zakładu, a to był zakład strukturalnie rozdrobniony w kilku województwach. Miał duży oddział też i tutaj w Tczewie, duży w Bydgoszczy, w Olsztynie. I po różnych oddziałach jeździłem, wszędzie przedstawiałem, na czym ten związek i jego działalność ma polegać. Namawiałem oczywiście do wstąpienia do tego, ale ludzie byli przekonani, zdecydowani, pytali o różne rzeczy, na które starałem się odpowiedzieć, więc to trwało kilka miesięcy, żeby powołać ogólnozakładową strukturę związkową i 96% przystąpiło do związku zawodowego „Solidarność”. Ja zostałem w grudniu wybrany, no praktycznie prawie, że jednogłośnie, przewodniczącym międzyzakładowej komisji zakładowej i szefem związku w PRK-12.

Mówi pan, że 96% osób się zgłosiło. Czy to było wpisywanie na listy, czy jakieś legitymacje państwo wręczali.

Nie, to były deklaracje. Takie deklaracje, one się zachowały u mnie, ja przekazałem część dokumentów też do archiwum „Solidarności” przy Komisji Krajowej. I te deklaracje były podpisane przez wszystkich, którzy chcieli do związku przynależeć, ale legitymacji nie zdążyliśmy przez szesnaście miesięcy gdzieś tam wypuścić, bo nie było na to czasu. Ale bardzo ładny sztandar poświęciliśmy, szybko ten sztandar robiąc. Był poświęcony w sierpniu osiemdziesiątego pierwszego roku. Jeden z pierwszych sztandarów. Chcieliśmy się jednoczyć pod sztandarem. O legitymacjach myśleliśmy w późniejszym okresie. I ten sztandar w tej chwili przekazałem i jest na honorowym miejscu w sali BHP.

Czy spotykali się państwo, omawiali różne sprawy pracownicze? Czy na przykład osoby z jakimiś problemami się do państwa zgłaszały, żeby im pomóc w rozwiązaniu ich, z pracodawcą?

Tak jest. My mieliśmy o tyle łatwiej, że tak jak na wstępie gdzieś tam wspominałem, że podpisaliśmy porozumienie z ministrem komunikacji na początku października, dotyczące wszystkich zakładów należących do struktur PRK, PBK – bo niektóre zakłady tak się nazywały. Też były przedsiębiorstwa sprzętowo-transportowe. I właściwie wdrażaliśmy to porozumienie. I dlatego było łatwiej. I o tym porozumieniu też należało załodze powiedzieć. Ja przez

te szesnaście miesięcy jakby byłem ciągle w jednej trasie, jeździłem po wszystkich naszych strukturach w tych kilku województwach. A mieliśmy budowy też bardzo odległe gdzieś tam. I zawsze przedstawiałem realnie, jak to wygląda, słuchałem, co jeszcze można dla załogi zrobić i też przekazywałem to później komisji zakładowej. Rozmawialiśmy też z dyrekcją zakładu pracy. Muszę powiedzieć, że mieliśmy dużą przychylność naszego dyrektora zakładu pracy, który nie przeszkadzał nam w sierpniu osiemdziesiątego roku – muszę tę rolę podkreślić. Jak w innych zakładach pracy dyrektorzy przeszkadzali, gdzieś kontaktowali się z SB. Tutaj dyrektor mnie zaskoczył, bo jeszcze w sierpniu osiemdziesiątego roku powiedział: „Panie Andrzeju, jestem z wami”. Ja nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. Później się okazało, kiedy byłem już więźniem politycznym, dowiedziałem się jako jeden z trzech w zakładzie pracy, że on był akowcem, walczył w Powstaniu Warszawskim. Jest odznaczony przez rząd londyński, tajnie przywieziono mu to. I ja tylko, jeden z trzech w zakładzie o tym wiedziałem, czyli dyrektor i jeszcze tam dwie inne osoby. W związku z tym uznali, że wtajemniczyli mnie, że jestem już wiarygodny – jak byłem po więzieniu. Więc ja muszę tę rolę podkreślić, że było mi łatwiej. I nawet takie postulaty, o które pani pytała, które można było załatwić oprócz porozumienia, które podpisaliśmy z ministrem komunikacji, to udawało nam się wprowadzać w życie, porządkować. I ta rola była chyba u mnie łatwiejsza. Bo i zakład pracy był słabo upartyjniony. Kierownicy budów nie należeli do partii. Bo wcześniej on przypadł w podziale, tak do siedemdziesiątego roku, dla ZSL. Był taki podział: SD, ZSL, PZPR. I poprzedni dyrektor przyszedł się zapisać, do mnie, do „Solidarności”, gdzie przedstawił, że on jest byłym dyrektorem zakładu pracy. Więc... On chyba nie naciskał, żeby ludzie należeli do PZPR-u, tylko bardziej do ZSL-u – chociaż w ogóle było słabe upartyjnienie i nie było sekretarza na etacie w zakładzie, który liczył 1500 osób. W związku z tym może mi było łatwiej, ale też przez dyrektora, byłego akowca, który później został pochowany, jak zmarł, jest w alei zasłużonych Armii Krajowej. Na Łostowicach w Gdańsku pochowany. Więc może było łatwiej, że była jakaś przychylność. I z tego tytułu te postulaty, które ludzie zgłaszali, takie porządkujące, udawało się załatwić.

Proszę powiedzieć, jak się nazywał ten dyrektor?

Dyrektor mojego zakładu pracy nazywał się Sylwester Kotecki.

Wróćmy jeszcze do tego porozumienia, które zostało wynegocjowane z ministrem komunikacji. Jak odbywały się te negocjacje i jakim rezultatem się zakończyły, czyli jakie punkty udało się państwu osiągnąć?

To jest takie dłuższe porozumienie, ale udało nam się uporządkować w zakładach to, o czym wcześniej zgłaszałem, żeby strukturalnie ograniczyć patologie gdzieś kradzieży paliwa, bo to było bardzo istotne. Wyliczyliśmy, ile na tym tracą zakłady pracy. Ale też takie sprawy, które przy tym porządkowaniu mogły dać rezultat wyższej płacy dla pracowników. Ale również innej organizacji, która wymuszała na kierownictwie zakładu pracy i prowadzących jednostki organizacyjne, do lepszego pilnowania, żeby na budowach był większy, powiedzmy, organizacyjny ład. Bo budowa to zawsze jest coś, co jest w żywiole itd., żeby trochę okiełznać ten żywioł w pozytywnym tego słowa znaczeniu. I muszę powiedzieć, że udało nam się w tym porozumieniu takich parę postulatów organizacyjnych załatwić i przy okazji z niego wynikały też i płacowe historie, i ludzie byli z tego zadowoleni, że nie patrzymy tylko, żeby dużo więcej zarabiać, bo wiedzieliśmy, że tego nie można zrobić w krótkim terminie, ale wiedzieliśmy, że tym porządkiem organizacyjnym zawsze będzie można w przyszłości doprowadzić do tego, że lepiej się będzie wszystkim żyło. I takich parę postulatów udało nam się po prostu załatwić.

Później pan nadzorował wykonanie tego.

Tak jest, ja byłem nadzorującym. Tak jak pytano mnie gdzieś tam w różnych audycjach czy IPN-u, to wpisałem w życiorysie, należałem do takiej stałej komisji czteroosobowej, ogólnopolskiej, która nadzorowała wykonanie tych postulatów. W ogóle rozmowy prowadziliśmy pod Szczecinem, bo koledzy mieli lepszą bazę, z PBK Szczecin. Ja nie miałem takiej bazy, żeby ich tu przywieźć itd. Może tu szybciej byśmy to podpisali, porozumienie. Tam może MKZ szczeciński, no, nie był jeszcze tak zorganizowany jak nasz. Ja musiałem tam, żeby pogonić trochę do przodu, tak bym powiedział, całą sprawę. To pojechałem do Gdańska, do MKZ-tu, poprosili mnie, żeby przywieźć Wałęsę, żeby trochę nam pomógł. Wałęsa powiedział: „Idź do Gwiazdy”. No to namówiłem Andrzeja Gwiazdę. Taki moment był, że Andrzej Gwiazda z Joanną byli na weselu, gdzieś na Kaszubach i kogoś z opozycji, o dwunastej w nocy, kolegą z Warszawy, syrenką, zabieraliśmy. Całą noc jechaliśmy pod Szczecin. Policja nas zatrzymywała, ale oczywiście nic nam nie zrobiła. I Andrzej Gwiazda przyjechał, trochę tam organizacyjnie ustawił Jurczyka, Wądołowskiego, żeby nam po prostu pomagali. Więc myślę, że to nadzorowanie tego wszystkiego, to tak w sensie pozytywnym, przez te szesnaście miesięcy, odbiło się na strukturze organizacyjnej zakładu pracy.

Czyli krótko mówiąc, usprawnione zostało.

Zdecydowanie została usprawniona praca i myślę, że to później też nigdy nie zostało wycofane. I to chyba był taki okres, że nie musieliśmy jeszcze specjalnie w poszczególnych zakładach pracy wymyślać czegoś nowego. To porozumienie było takim wiodącym. I ja w tych rozmowach należałem do tej ściślej grupy w Szczecinie, rozmawiających z ministrem komunikacji. Wyjeżdżaliśmy też do Warszawy, żeby tam też już z ministrem – wtedy to był minister Zajfryd, a do nas przyjeżdżali jego wiceministrowie, żeby te rozmowy zakończyć.

Później był pan delegatem regionu gdańskiego. Czy mógłby pan opowiedzieć o tym wątku?

Tak. Zostałem wybrany w strukturach tutaj, gdańskiej „Solidarności” jako delegat, zgłoszony oczywiście przez swój zakład pracy, przez struktury kolejowe. Chociaż mój zakład pracy w tamtym czasie był takim trochę obok kolei, nie mieliśmy uprawnień kolejowych, wywalczyliśmy sobie w sierpniu osiemdziesiątego roku legitymację kolejową, ale praktycznie całość wykonywaliśmy usług budowy dla Polskich Kolei Państwowych. I stąd też popierali mnie kolejarze i zostałem wybrany delegatem na zjazd regionu gdańskiego „Solidarności”. To też oczywiście ułatwiało mi dostęp do dokumentów, to co się dzieje na zjeździe. Później oczywiście zjazd, I Zjazd „Solidarności” w Hali Olivia. Ja Halę Olivia miałem minutę drogi od mojej siedziby „Solidarności”. Więc ten mandat delegata ułatwiał mi też jakby pracę ogólną w związku.

Jakie postulaty wtedy państwo podnosili? Jak wyglądały te prace?

No, to wtedy pierwszy zjazd, to też był taki porządkujący. To był zjazd taki wyborczy. Ukształtowały się struktury związku. I to było istotne, żeby legalnie wybrane, demokratycznie, struktury. I wtedy zaczęła się ta praca organiczna,

ta najtrudniejsza. Euforia strajku to zawsze jest podniosła i wiemy, o co walczymy, a później, to nie jest takie łatwe jeździć po... Wszystkim delegatom, jak również szefom organizacji związkowej, gasić strajki, a takie strajki były. A był też przełom marca, w Bydgoszczy. Ja tam oczywiście byłem, bo miałem duży oddział w Bydgoszczy, więc to obserwowałem osobiście, tak że o tym wiem. I ta praca organiczna, to było wyjęte wszystkie miesiące z życiorysu. Dla mnie to był też taki, osobiście, okres ważny, bo w sierpniu osiemdziesiątego roku czekaliśmy z żoną na urodzenie się dziecka. Żona była w ostatnim miesiącu ciąży, mój syn się urodził 7 września 1980 roku. Więc ja praktycznie żonę odebrałem ze szpitala i może tam z dwa dni byłem w domu. I pomogła rodzina, i teściowa przyjechała. I rodzina pomagała żonie w wychowaniu naszego syna, bo ja po prostu zaangażowałem się w związek. I chyba miałem dużą wyrozumiałość od żony, od rodziny. Wszyscy wiedzieli, że po prostu tak trzeba w tamtym czasie. Nie było to dla mnie łatwe, ale po prostu dobro ojczyzny tego wymagało.

Wydarzenia, które miały miejsce w Bydgoszczy. Jak by mógł je pan opisać ze swojej perspektywy.

Ja dowiedziałem się oczywiście szybko z mediów, że taka sytuacja jest i pojechałem, chyba, do Bydgoszczy, tam na, chyba na dwa dni. Wtedy widziałem te tłumy, które nad Brdą stały, niedaleko MKZ-tu. Widziałem, co się dzieje tam. To pobicie Rulewskiego, Łabędowicza i innych, no to... Widziałem, że władza już zaczyna robić pierwsze kroki, że nie będzie łatwo związkowi. Wiedziałem, że jeżeli do tego się posunęła, to znaczy, że i Związek Sowiecki i nasze struktury komunistyczne nie będą odpuszczają. To był taki pierwszy sygnał. I oczywiście zostało to w jakiś sposób załagodzone, przeszliśmy do dalszej działalności, ale to też i struktury związku były takie, że niektórzy oczywiście chcieli bardziej radykalnych działań, niektórzy oczywiście współdziałania z władzą. Ci, którzy pochodzili z KOR-u, to oni, później się okazało, że bardziej trzymali z władzą. Nie mówię, że mieli złe intencje w tamtym czasie, ale widać było, że to już jest taki sygnał bardzo poważny ostrzegawczy dla związku, chociaż ludzie się bardzo postavili. Widziałem w Bydgoszczy i obserwowałem moich kolegów, koleżanki, a to był taki oddział, który zatrudniał około 400 osób. W związku z tym widziałem, że są zdeterminowani, ale czuli, że to już jest taki pierwszy sygnał ostrzegawczy dla związku.

Jak pan obierał obrady I Zjazdu „Solidarności” i jak pan odebrał wybór przewodniczącego?

Ja to obserwowałem rzeczywiście bardzo blisko, byłem gościem zjazdu, bo nie byłem delegatem. No oczywiście to już wtedy nastąpił taki podział i „gwiazdozbiór”, i Wałęsa. Wałęsa był wtedy bardzo popierany, taka jest prawda. Nikt nie wiedział o jego przeszłości. O tej przeszłości to praktycznie wiedziały nieliczne osoby, nie powiedziały nam tego. Ale muszę powiedzieć, że Wałęsa w tamtym czasie to był takim trybunem ludowym. Ale ja dobrze odbierałem Andrzeja Gwiazdę. Ja to też mówię czasami w wywiadach. To był intelektualista w stosunku do Wałęsy, mówił zawsze do rzeczy, wiedział, czego chce, nie mówił czegoś w euforii. Może nie był tego typu trybunem ludowym jak Wałęsa, robotnicy nadawali jednak ton. Ale popierałem wtedy Andrzeja Gwiazdę. Nie miałem żadnych przeczuc do Wałęsy, bo wtedy nie wiedziałem i właściwie wszyscy go w większości popierali, ale Andrzej Gwiazda był dla mnie takim wyznacznikiem i być może... Też wtedy Andrzeja Gwiazdę zabrałem na te rozmowy. Natychmiast się zgodziłem, jak Wałęsa powiedział: „Idź do Andrzeja” i w środku wesela ze mną pojechał. Więc ja już nabierałem do Andrzeja Gwiazdy, mieliśmy tam całą noc i tam chyba... Andrzej Gwiazda był chyba dwa dni w tym Szczecinie z nami, tak

że mieliśmy okazję sobie porozmawiać. A takiego kontaktu bliższego z Wałęsą nigdy nie miałem, tak że to tutaj już nabierałem do Andrzeja Gwiazdy... No Andrzej Gwiazda przegrał, ale okazało się, że w tej chwili wybrał słuszniejszą drogę. To on jest autorytetem a nie Wałęsa i to trzeba jasno powiedzieć.

Czyli niejako czuje się pan związany z tym „gwiazdozbiorem”.

No tak, zdecydowanie. I ta jazda nocna syrenką, gdzie nas ciągle milicja przekazywała i ciągle nas zatrzymywała, że ci tu jadą gdzieś do Szczecina itd. To wtedy Andrzeja tak trochę bliżej znałem, ale miałem z nim takie kontakty – ja to czasami Andrzejowi przypominam. Po wyjściu z więzienia, w bardzo wąskim gronie spotykaliśmy się u znajomej na Przymorzu. To było cztery-pięć osób i zawsze mieliśmy dysputy intelektualne, co dalej, w stanie wojennym i do osiemdziesiątego dziewiątego roku. Więc wtedy jakby go bliżej cały czas poznawałem i przekonywałem się do niego, że on, mimo że nie jest w rozumieniu takim jak Wałęsa, trybunem ludowym, ale że wartości takie nieugięte, to on reprezentuje.

Stan wojenny rozpoczyna się dla pana strajkiem. Czy to pan inicjuje ten strajk? Jak on wygląda?

Tak. Ja jako przewodniczący komisji zakładowej zainicjowałem ten strajk. Oczywiście byłem pod stoczną już 13 grudnia, to była niedziela. I od poniedziałku, od 14 grudnia rozpoczęliśmy strajk okupacyjny w zakładzie zmilitaryzowanym. Uznałem, że komisja zakładowa powinna się przekształcić w komitet strajkowy, w związku z tym nie było potrzeby powoływania oddzielnie komitetu strajkowego. Ja byłem przewodniczącym tego strajku. Tak jak w sierpniu osiemdziesiątego roku zostały bramy pozamykane w naszych strukturach organizacyjnych różnych jednostek, wywieśliśmy flagi i odbywało się to tak jak w sierpniu osiemdziesiątego roku, z pełną determinacją. Ludzie nie bali się tego. Skupiłem w różnych okresach czasu przy bazie sprzętu, gdzie była siedziba „Solidarności”, około 400 osób. Oczywiście większość z nich w zakładzie pracy okupacyjnie przebywała, ale też strajkowały inne jednostki organizacyjne zakładu: baza sprzętu na Litewskiej, struktury budów – wszyscy strajkowali. I wiedzieliśmy, że tutaj nie możemy odpuścić, bo jeżeli teraz odpuścimy, to wszystko co wywalczyliśmy w sierpniu osiemdziesiątego roku, to pójdzie w niwecz. Oczywiście byliśmy w takim punkcie newralgicznym komunikacyjnym. Z Trójmiasta przyjeżdżało ZOMO, straszło nas przez głośniki, bo bezczelnie strajkuje jakiś zakład w takim ważnym punkcie Trójmiasta. Mieliśmy obok uniwersytet, Bimet, ale okupacyjnie to my najdłużej strajkowaliśmy. I 17 grudnia o godzinie 11:00 wkroczyło ZOMO, rozbiło ten strajk, jak w stoczni i jak w rafinerii. Pobito bardzo ludzi, biegali po całej bazie sprzętu, po budynku, wyławiali mężczyzn, żeby ich pobić. Mnie się wtedy udało uniknąć aresztowania, bo koledzy podprowadzili mnie pod drugą część zakładu pracy, z tyłu od „chemii”. Naprzeciwko były ogródki działkowe, tam w tej chwili jest uniwersytet. Oni się skupili, pobiegli do bramy, rozbili bramę od ulicy Kołobrzeskiej, przy wjeździe. Więc ja się trochę ukrywałem w tamtym czasie. I po tygodniu wyszedł komunikat, że ci wszyscy, którzy byli opłacani przez związek, działacze „Solidarności”, a ja postawiłem mojej komisji zakładowej, żeby być niezależnym, żeby mnie struktury zakładowe opłacały, mogą się zgłosić do zakładu pracy. Ja wiedziałem, co mnie grozi. Zgłosiłem się bezczelnie do pracy. Wiedziałem, że śledztwo trwa, przychodzili esbecy. Miałem informacje, że zbierają na mój temat. Koledzy chodzili już na przesłuchania. A po mnie przyjechano z bazy sprzętu, ja byłem dyspozytorem sprzętu. O godzinie ósmej rano trzech esbeków, aresztowali. Przyjechali do mojego domu. Ja mieszkałem w Oliwie, pod lasem, na ulicy Tetmajera.

Zrobili rewizję. Zawieźli mnie na SB, na ulicę Okopową. Tam chcieli mnie przesłuchać. Nie chciałem zeznawać u nich, to powiedzieli: „Wrzucimy go do piwnicy, tam takie warunki średniowieczne, to po prostu zmięknie”. No i na drugi dzień zawieziono mnie do prokuratury marynarki wojennej. Podlegaliśmy jako zakład zmilitaryzowany pod jurysdykcję sądu wojskowego. Tam podprokurator Bronk mnie przesłuchiwał i powiedział do mnie tak: „Proszę pana – chyba chciał się usprawiedliwić – ja jestem z cywila tu ściągnięty, a pan wie, co w tym budynku się dzieje”. Ja mówię: „No wiem”, bo wiedziałem, że już w grudniu były wyroki Ewy Kubasiewicz, Kowalczyka, bardzo wysokie. I powiedział, że: „No pan powinien wiedzieć, że śledztwo w pana sprawie trwało. To jest nasza niewydolność, nie zdążyliśmy wszystkich tak szybko gdzieś tam aresztować. No, chyba niewydolność organizacyjna”. I powiedział: „No i tak panu grozi z dekretu w stanie wojennym od trzech lat w górę”. I zadał mi takie pytanie, no to chyba na jego korzyść, ale też chcę uczciwie o tym powiedzieć. To chyba dlatego, że chciał się usprawiedliwić i powiedział, że on jest tu zmobilizowany z cywila. I też nie pozwolił esbekom, bo chcieli być przy przesłuchaniu. Dwóch mnie zawiozło tam, do Marynarki Wojennej. Powiedział: „Niech panowie poczekają”, zgodnie z jakąś tam procedurą oczywiście. I zadał mi na koniec pytanie, bo ja oczywiście potwierdziłem, że byłem szefem strajku, że to był nasz obowiązek. Że walczyliśmy o nasze postulaty z sierpnia osiemdziesiątego roku, ale przede wszystkim o strukturę zakładową, o uwolnienie naszych kolegów. Nie przyjmowaliśmy stanu wojennego. I powiedział tak: „Proszę pana, a jak by pan postąpił z perspektywy czasu?”. To było dwa miesiące po. Ja mówię: „Tak samo”. „To ja tego panu nie wpiszę”. No to tak trochę mnie zastanowiło i nie mogę powiedzieć, że byłem przez niego prześladowany. Może się też jednostki takie zdarzały. Ale proces, to już nie były żarty, bo proces miałem w Wielki Piątek. Moją sprawę wziął komandor Dziubiński, prezes Sądu Marynarki Wojennej. I oczywiście w składzie był słynny Grzybowski, Ring – prokurator, który nas oskarżał. Jego ojciec był pułkownikiem struktur SB w Gdańsku. Oczywiście prokurator żądał sześciu lat więzienia. Nie wiem, czy w łaskawości dostałem cztery lata, w Wielki Piątek. Ale wcześniej mój adwokat, jeden z dwóch, przyszedł i powiedział: „Proszę pana, pan wziął wszystko na siebie jak Chrystus. Prezes wziął sprawę, chce panu po prostu dołożyć. Ale wie pan, to jest kwiecień, opinia publiczna, międzynarodowa. Bo w grudniu, zakład zmilitaryzowany, kierowanie strajkiem, to tak do dziesięciu, a teraz tak – mówi – do sześciu”. No to się po prostu załapałem między cztery a sześć, czyli dostałem cztery lata więzienia. Ja w tej chwili może z takim trochę mówię humorem o tym, ale to wtedy była poważna historia, bo – i teraz powiem poważnie – bo moja żona znowu była w ciąży z drugim dzieckiem. Syn wtedy miał kilkanaście miesięcy, a żona była w czwartym miesiącu ciąży z córką. I kiedy ja dostawałem wyrok... Jak wyszedłem z więzienia, córka już miała osiem miesięcy. Ale tylko dlatego, że była amnestia i wyszedłem po czternastu miesiącach. Ale oczywiście w międzyczasie, kiedy wróciłem do zakładu pracy, to oczywiście zaraz gdzieś w styczniu, zaczęliśmy dalej ostrą działalność. Bo ja na święta pojechałem do rodziny żony, do Bydgoszczy. Oczywiście nie zgłaszałem się do urzędu miasta po taką przepustkę. Być może od razu by mnie aresztowali, bo wyłapałoby moje nazwisko, ale pojechałem na delegację. Miałem przychylnego kierownika mojej jednostki organizacyjnej, nazywał się Kochański. Muszę wymienić to nazwisko. Powiedział: „Panie Andrzeju, ja panu pomogę. Pojedzie pan do Bydgoszczy w takim razie na delegację”. Bo my byliśmy zakładem pracy, który miał przepustki, bo to był zakład budowlany, ludzie poruszali się po całej Polsce. „Pan pojedzie tam sprawdzać sprzęt. Pójdzie pan do kierownika, tylko do niego, tamtej jednostki organizacyjnej, i on panu podpisze delegację, ja już wszystko załatwiłem”. Więc jakaś taka przychylność dobrych ludzi też i w zakładzie pracy. I byłem z żoną u teściów na święta. Byliśmy tam około dwóch tygodni. I później, jak wróciłem, to zaczęliśmy działać, koledzy już zaczynali działać. Ale normalnie działalność opozycyjną. I dowiedziałem się z akt IPN-u, że komendant Milicji Obywatelskiej, na Kaprów, gdzie

mieszkam obok komisariatu teraz, pan Komuniewski napisał do SB: „Dlaczego ten Osipów jeszcze nie siedzi? Organizował strajk w zakładzie zmilitaryzowanym, okupacyjny i jeszcze nie siedzi”. No stąd może tego 15 lutego, przez ich niewydolność, trochę bałagan, jak prokurator powiedział, po prostu mnie aresztowano. I tak ciekawe dokumenty się po prostu znajdują w IPN-ie. I później jak dostałem wyrok. Najpierw przebywałem, przed wyrokiem, przez miesiąc, w podziemiach SB na Okopowej, z różnymi konfidentami, ale widzieli, że nie mogą nic ze mnie wyciągnąć, bo z nimi już nie rozmawiałem, moje zeznania tylko były w prokuraturze. A tam były takie warunki jak gdzieś, rzeczywiście, w średniowieczu. Trafiłem na Kurkową. Moja żona mnie szukała wcześniej, gdzie ja w ogóle jestem. To przez ileś czasu, przez chyba trzy tygodnie czy przez miesiąc, nie mogła się dowiedzieć, gdzie jestem. No, przypuszczenia były różne, że może na „białe niedźwiedzie” nas wywieźli. Pojechała do prokuratora Marynarki Wojennej i on spowodował, że mnie przeniesiono do warunków aresztu śledczego na Kurkowej. Co prawda to jest Strzelecka, wszyscy mówią popularnie: Kurkowa. I żona w ciąży. On jej załatwił jakieś krótkie widzenie przez telefon, z żoną, które miałem przed rozprawą. I cała działalność tych dwóch miesięcy, kiedy nie zostałem aresztowany: styczeń-luty, to po prostu była działalnością już opozycyjną, już mieliśmy bibułę. I wspomniany pan komendant Komuniewski, jeszcze uzupełnił to: „Dlaczego Osipów jeszcze nie siedzi, bo organizował strajk i nim kierował. I teraz w zakładzie pracy dalej jest niepokój i chodzi bibuła”. I taki dokument mam. Oczywiście całe więzienie, które spędziłem najpierw na Okopowej, na Kurkowej, a 4 maja 1982 roku przewieziono nas do Potulic, po wydarzeniach 3 maja. My słyszeliśmy to wszystko, co dzieje się, bo myśleliśmy, że chcą nas odbić z więzienia. Odgłosy 3 maja do nas dochodziły. Było duże poruszenie w więzieniu. Na drugi dzień nas wywieziono do Potulic i w Potulicach przebywałem do 12 kwietnia osiemdziesiątego trzeciego roku. W Potulicach, to tak jak w warunkach więziennych. My się czuliśmy jak opozycja, pisaliśmy różne rzeczy. Napisaliśmy w naszej celi list do Ojca Św. Jana Pawła II, w celi nr 16. Przebywałem z Czesławem Nowakiem rok w jednej celi, stąd poznałem portowców. Czesiu redagował ten list, myśmy go konsultowali. Tak że to taki słynny list do Ojca Św. Wywalczyliśmy też mszę św. niedzielną. Przyjeżdżał ksiądz Józef Kutermał z Bydgoszczy, nasz kapelan „Solidarności”. Ja oczywiście przekazywałem różne rzeczy z więzienia przez niego do Bydgoszczy, bo żona z dziećmi była w Bydgoszczy. Tam mieliśmy kontakt z podziemiem, z Bydgoszczą. Moja żona też przewoziła różne rzeczy z Gdańska do Bydgoszczy. Więc ja takie informacje miałem od księdza Józefa Kutermała i to chyba jakby nas utrzymywało na duchu, że ten kontakt ze światem zewnętrznym, oprócz widzeń comiesięcznych, w więzieniu – oczywiście jak się nie miało jakiejś kary, nie było się karanim. Miałem oczywiście jakiś zakaz korespondencji, coś jeszcze, tak że jakieś kary tam też zdobywałem, ale to wszystko było do przetrwania. Byliśmy w swoim gronie, w pawilonie dla więźniów politycznych. To był pawilon szkolny w Potulicach.

Jak udało się wysłać ten list do Jana Pawła II?

No, ten list oczywiście przekazaliśmy, jak się nie mylę, przez księdza Józefa Kutermała. Ale to chyba Czesław Nowak powinien dokładnie powiedzieć, czy nie zrobił to przez żonę, ale coś mi się wydaje, że przekazaliśmy przez księdza, naszego kapelana.

[00:59:13 KONIEC NAGRANIA]